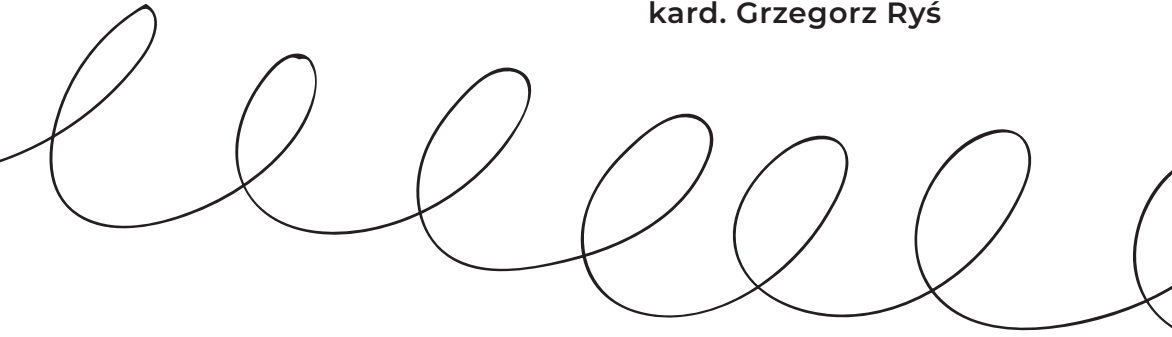


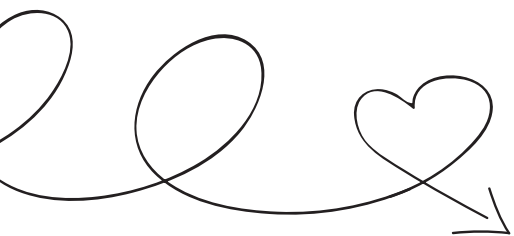
drogi współczucia
rozmowy o miłości
do człowieka

Małgorzata Bilska
kard. Grzegorz Ryś



Marta i Marek Babikowie
s. Anna Bałchan
Wojciech Bonowicz
s. Małgorzata Chmielewska
ks. Manfred Deselaers
Anna Dymna
Michał Gawęł
Anna Grabarczyk
Paweł Klepacki
ks. Wojciech Lemański
Żaneta i Marek Pawłowscy
ks. Sławomir Sosnowski
ks. Piotr Studnicki
ks. Mirosław Tosza
ks. Adam Trzaska
Michał Zabłocki

drogi współczucia
rozmowy o miłości
do człowieka



Święty Wojciech
wydawnictwo

Spis treści

Wstęp	7
Współczucie dla pobitych	13
<i>Z kardynałem Grzegorzem Rysiem rozmawia Małgorzata Biłska</i>	
Trzy adresy	27
<i>Z siostrą Małgorzatą Chmielewską rozmawia Małgorzata Biłska</i>	
Komentarz ze Źródła – kard. Grzegorz Ryś	37
To siła, a nie słabość	39
<i>Z Anną Dymną rozmawia Małgorzata Biłska</i>	
Komentarz ze Źródła – kard. Grzegorz Ryś	50
Na czynniki pierwsze	53
<i>Z Michałem Gawłem rozmawia Małgorzata Biłska</i>	
Komentarz ze Źródła – kard. Grzegorz Ryś	64
Leczyć świat	67
<i>Z ks. dr. Manfredem Deselaersem rozmawia Małgorzata Biłska</i>	
Komentarz ze Źródła – kard. Grzegorz Ryś	77
Poznanie uczestniczące	79
<i>Z Wojciechem Bonowiczem rozmawia Małgorzata Biłska</i>	
Komentarz ze Źródła – kard. Grzegorz Ryś	89
Idziemy po światło	91
<i>Z ks. Mirostawem Toszą rozmawia Małgorzata Biłska</i>	
Komentarz ze Źródła – kard. Grzegorz Ryś	101
Oni jakoś są moi	103
<i>Z ks. Wojciechem Lemańskim rozmawia Małgorzata Biłska</i>	
Komentarz ze Źródła – kard. Grzegorz Ryś	113
Mapa człowieka	115
<i>Z siostrą Anną Bałchan rozmawia Małgorzata Biłska</i>	
Komentarz ze Źródła – kard. Grzegorz Ryś	125

Przemoc ujednolicania	127
<i>Z Pawłem Klepackim rozmawiają Małgorzata Bilka</i>	
<i>i ks. dr Sławomir Sosnowski</i>	
Komentarz ze Źródła – kard. Grzegorz Ryś	139
Krzyż wstydu	143
<i>Z Żanetą i Markiem Pawłowskimi rozmawiają Małgorzata Bilka</i>	
<i>i ks. dr Sławomir Sosnowski</i>	
Komentarz ze Źródła – kard. Grzegorz Ryś	155
Syndrom najemnika	157
<i>Z ks. dr. Piotrem Studnickim rozmawia Małgorzata Bilka</i>	
Komentarz ze Źródła – kard. Grzegorz Ryś	168
Litania w obronie dzieci	171
<i>Michał Zabłocki</i>	
Solidarni w otchłani	177
<i>Z Anną Grabarczyk rozmawia Małgorzata Bilka</i>	
Komentarz ze Źródła – kard. Grzegorz Ryś	187
Sąd w języku	189
<i>Z Martą i Markiem Babikami rozmawia Małgorzata Bilka</i>	
Komentarz ze Źródła – kard. Grzegorz Ryś	200
Krzyk bezradności	203
<i>Z ks. Adamem Trzaską rozmawia Małgorzata Bilka</i>	
Komentarz ze Źródła – kard. Grzegorz Ryś	212
Puenta	215
<i>Z kardynałem Grzegorzem Rysiem rozmawia Małgorzata Bilka</i>	
Dla osób w kryzysie – kontakt	222

Po co pisać książkę o współczuciu? Musiała ona powstać z powodu doświadczenia pewnego... braku. Pozornie Polacy są niezwykle współczujący – otwarci i gościnni – co było widać po reakcjach na cierpienie sąsiadów z Ukrainy, którzy szukali u nas schronienia przed wojną. Poza tym mamy tyle wspaniałych dzieł pomocowych! Wśród nich są prężne organizacje kościelne, ale też wspaniałe fundacje i stowarzyszenia niezwiązane z religią. Osiągnięcia ich są tak świetne, że Polacy zaczęli się kłócić o to, która z nich jest najlepsza, jakby to był sport... Chyba już wszyscy mamy dość konfliktów w społeczeństwie. Dopóki jednak są wśród nas oddane, gorące serca, myślimy o sobie dobrze! Podobnie w Kościele. Kryzys – spowodowany głównie przez krycie i tuszowanie przemocy seksualnej wobec dzieci i bezbronnych dorosłych – budzi złość, żal, gorycz. Jak to się stało? Jak to w ogóle było możliwe? Lecz czy da się potępić wspólnotę, która czyni „tony miłosierdzia” od stuleci? My nie chcemy potępiać – nikogo. Widzimy dobro, widzimy zło, braki i realne potrzeby. Drążymy... Nie osądzamy; raczej stawiamy pytania.

Pierwszym impulsem do powstania tej książki była „zagadka” związana z miłosierdziem. Ma ono bowiem dwa różne znaczenia – w pierwszym (dominującym w objawieniu siostry Faustyny) jest tożsame z przebaczeniem. Drugie natomiast widać w ludzkich uczynkach miłosierdzia – to pomoc cierpiącym. Do tej pory nikt się chyba jednak nie zastanawiał, jaki skutek ma ta podwójna definicja w sytuacji, kiedy grzech polega na sprawianiu cierpienia drugiemu człowiekowi. Znamy przypadki, w których ksiądz był sprawcą bólu i krzywdy – i jako grzesznik, w imię miłosierdzia w sensie pierwszym, szybko dostawał wybaczenie, podczas gdy nie było miłosierdzia dla skrzywdzonych... Ich cierpienie lekceważono, a ich samych

postrzegano wręcz jak wrogów Boga i Kościoła. Czy Bóg kocha bardziej grzesznika niż bezbronne, cierpiące, traktowane jak przedmiot dziecko? Absurd! Ojciec kocha każde ze swoich dzieci, ale od zawsze staje w obronie najsłabszych. Czegoś więc tu zabrakło!

Dziś zmieniono w Kościele prawo, sprawcy przestali być bezkarni, stworzono system wsparcia i pomocy dla ich ofiar. Brak jednak spontanicznej wrażliwości na tych, którzy niewinnie cierpią, latami próbując zaleczyć traumy. Ludzie Kościoła ciągle są oskarżani o brak empatii, troski i odruchów serca – i to w wielu sytuacjach. Czasem wystarczy okrutne, nieczułe, bezmyślne słowo, by kogoś naprawdę mocno zranić. Kiedy robi to ksiądz, to jakby ranił sam Chrystus, bo to w Jego imieniu odprawia on ofiarę Eucharystii; na Niego się powołuje, Jego „reprezentuje”.

Mentalności nie zmieni się aktem prawnym, odgórną decyzją władz. Gdyby wrażliwość tak funkcjonowała, po doświadczeniach ostatnich lat już zaczęlibyśmy walczyć o autentyczne, zdrowe relacje w kościelnej wspólnotcie. Każdy katolik robiłby wszystko, żeby pierwszym skojarzeniem ze słowem „Kościół” były słowa tak często używane przez papieża Franciszka: współczucie, czułość, słuchanie, troska. Reakcja na cierpienie drugiego, konkretnego człowieka, byłaby pełna współczucia – a on byłby pewien, że najbardziej może liczyć na ludzi, którzy głoszą Ewangelię Miłości. Konkretniej, a nie abstrakcyjnej, która pięknie się snuje w opowieści opartej na Piśmie sprzed dwóch tysięcy lat. Słowo wcielone po prostu musi być konkretne. Jest proste. Wcielenie widać po spójności tego, co mówią usta człowieka, z tym, jak człowiek zachowuje się wobec bliźniego. Niespójność oznacza – niewiarygodność.

Tymczasem, choć padło wiele pięknych słów, a Kościół realizuje już wymogi tzw. „ustawy Kamilka”, chroniącej dzieci przed przemocą, to nie mamy potrzeby, aby się za nie... modlić! Ba, w Polsce nie ma tekstów modlitw za dzieci! Czy one nie są członkami wspólnoty?

Czy za ich życie odpowiadają wyłącznie rodzice, a potem państwo? Jak mówi w tej książce ksiądz Piotr Studnicki: „Jeżeli czegoś nie ma w naszej modlitwie, to nie ma tego w trosce i działaniu”. Dlatego publikujemy tutaj – być może pierwszą, jaka w tym kraju powstała – poetycką, porażającą, piękną, *Litanie w obronie dzieci* autorstwa znakomitego poety Michała Zabłockiego. Dzieci są grupą ludzi najbardziej bezbronnych i zależnych. Troska o nie jest obowiązkiem odpowiedzialnych dorosłych. Dzieci poczęte nie są ważniejsze niż te, które przyszły na świat. Małe dziecko nadal jest kruche, podatne na nadużycia władzy. Ma swoją godność, podmiotowość i nie może być w bólu osamotnione. Zresztą nikt nie powinien cierpieć sam. Współczesna kultura neguje sens cierpienia, nie chce go znać, a za swoisty „grzech” uważa właśnie – i wyłącznie to – zadawanie cierpienia. Tylko czy to efekt lęku przed cierpieniem, czy raczej – przed samotnością w cierpieniu? Przed byciem kłopotem, ciężkim balastem dla ludzi „idealnych”, a więc... autonomicznych i niezależnych?

Pierwszym impulsem było więc poczucie braku „wyobraźni współczucia” – tak na co dzień. Założyliśmy, że aby zaistniało współczucie, konieczne jest myślenie w kategoriach relacji oraz konkretnego człowieka. Religia masowa, obrzędowo-rytualna, oparta tylko na tradycji i przyzwyczajeniu (chodzę do kościoła „bo wszyscy tak robią”) odchodzi dziś w niebyt... Nie trzeba po niej płakać, była mocno niespójna z wrażliwością i pełnym miłości współczuciem Ewangelii. Kryzys jest wyzwaniem, trudem, ale także wielką szansą powrotu do źródeł. Doprawdy: chrześcijaństwo jest relacją! Człowiek jest stworzeniem na obraz Boga Trójjedynego – Wspólnoty Trzech Osób. Odniesionych do siebie wzajemnie w Miłości („Bóg JEST miłością!”). Do relacji wzywa też główne przykazanie (dokładnie – dwa) wskazane przez Jezusa Chrystusa: „Będziesz miłował Pana Boga swego całym swoim sercem, całą swoją duszą i całym swoim umysłem. To jest największe i pierwsze przykazanie. Drugie podobne jest do niego: Będziesz miłował swego bliźniego jak siebie samego.” (Mt 22,37–39). Miłość jest relacją osób – człowieka i Boga; człowieka i człowieka, więc nakaz miłości

oznacza po prostu ustanowienie relacji jako sensu dekalogu i całej etyki. Wiara w takiego Boga ma być odkrywaniem, tworzeniem relacji. Będzie taka dopiero wtedy, kiedy zacniemy Kościół postrzegać w ewangeliczny sposób – jako wspólnotę braci i siostr. Rodzinę opartą na więziach braterstwa, choć nie krwi... Jak powiedział w jednej z homilii papież Franciszek: „duch rodzinny” jest dla Kościoła kartą konstytucyjną. Kościół jest i powinien być Bożą rodziną”. Kościół nie jest korporacją biznesową, hipermarketem z usługami religijnymi, formalnym zbiorem przepisów prawa, od których przestrzegania zależą niebiańskie kary i nagrody... Nie jest zawodową armią, w której są generałowie i prości żołnierze, honorowi rycerze i wojownicy. Czy też – jak wyszło w tej książce – opłacani najemnicy. Ma być rodziną uczniów Chrystusa. Wspólnotą, w której celibatariusz, pasterz, jest specem od relacji – bo umie być synem Boga, Ojcem Jego dzieci, bratem dla drugiego w Chrystusie.

Drugim impulsem do napisania tej książki było właśnie nauczanie Franciszka. Już Jan Paweł II wzywał do zmiany priorytetów, w centrum stawiał człowieka (hasło: „Człowiek jest drogą Kościoła”). Franciszek idzie jego śladem, wprowadzając do nauczania kluczowe dla relacji międzyludzkich terminy: czułość i współczucie. Chce budować kulturę troski. Czym jest jednak współczucie? Domeną kobiet? Buddyjskim oświeceniem? Tym samym, co empatia – współodczuwaniem? Papież nie mówi o empatii. Mówi o języku współczucia, o drodze współczucia. To słowo wraca i zmusza do refleksji. A jak się ma współczucie do litości? Do miłosierdzia? Miłość miłosierna bez współczucia jest możliwa czy nie? Jak kocha mnie Bóg? Czym jest relacja miłości? Czy Bóg czuje emocje? Współczuje?

Ta książka jest pytaniem o współczucie, rozbitym na tyle osobistych pytań, ilu ludzi chodzi po Ziemi. Nie ma jedynie słusznej tezy. Nie stanowi teoretycznego wykładu. Jej siłą jest osobiste doświadczenie. Stanowi pewne zderzenie życia codziennego, realiów bycia z ludźmi, z wrażliwością Ewangelii.

Oczywiście przyjęliśmy kilka hipotez – w tym tę, że aby współczucie zaistniało, konieczna jest optyka konkretnego człowieka i relacji. Tam, gdzie jest masa, kategoria, etykieta, stereotyp, przepis, ale też instytucja, formalna rola, funkcja – tam współczucia nie ma. Bazując na Ewangelii, a zwłaszcza na przypowieści Jezusa o miłosiernym Samarytaninie, założyliśmy także, że dużo na temat współczucia mogą wiedzieć ludzie, którzy z wielkim oddaniem pomagają innym. Dlatego czytelnikom poszukującym odpowiedzi, proponujemy sięgnięcie do tych dwóch źródeł: do Księgi Biblii i do „Księgi” życia – to znaczy doświadczenia i świadectwa konkretnych ludzi. Do książki zaprosiliśmy 18 osób (włącznie z Michałem Zabłockim) i bardzo się cieszymy, że zechciały z nami wejść na tę drogę w poszukiwaniu odpowiedzi. W nieznanie! Co z tego wynikło? Jak rozmowy przebiegały, co w nich odkryliśmy w świetle Ewangelii? Zapraszamy do lektury! Pewne wnioski są, pytanie zaś wciąż pozostaje otwarte... Z całą pewnością jednak podjęta droga stała się DROGAMI. Okazało się bowiem, że każda i każdy z rozmówców może się podzielić bardzo osobistym przeżywaniem współczucia. Funkcjonują oni w tej samej „przestrzeni miłosierdzia”, ale nikt z nich nie jest kalką innego. Każda i każdy są „oryginałami”.

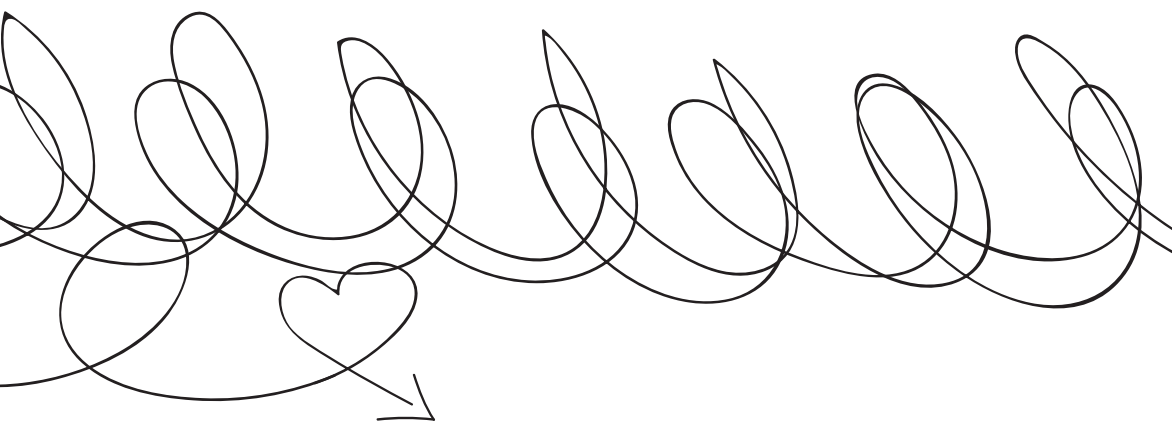
Książka jest przeznaczona dla każdego, kto lubi poszukiwania. Szuka autentycznej miłości i współczucia pyta o pewną wrażliwość. Nie godzi się na obojętność. Cierpi z powodu innych, w otoczeniu ma kogoś cierpiącego. Albo nie ma zaufania do siebie, że kiedy będzie szedł drogą jak kapłan i lewita z przypowieści, nie minie obojętnie ofiary przemocy przy drodze, jak to się do dziś zdarza ludziom pobożnym.

Warto dodać, że autorzy mają świadomość przemian społecznych, a *background* kulturowy nie był bez znaczenia dla wyboru tematu. Na naszych oczach następuje bowiem szybka erozja tzw. kultury chrześcijańskiej, choć ona nie była przecież kulturą ewangeliczną. Społeczeństwa Zachodu, do którego zalicza się też Polska, od dekad są przeorywane przez procesy indywidualizacji, deinstytucjonalizacji;

przemiany więzi społecznych. Coraz bardziej dziś dominują wartości ponowoczesne: autentyczność, empatia, subiektywizm, jakość życia, ekologia, cielesność i seksualność, decentralizacja, pluralizm, różnorodność. Liczy się to, co doraźne, nietrwałe, płynne, wieloznaczne. Emocje dominują nad rozumem, osobiste świadectwo góruje nad logiką obiektywizmu. Wiele z tych przemian Kościół uznał, lub uzna za chwilę, za zgodne z objawieniem i wolą Boga. Tak zwane znaki czasu to: wyzwolenie i wejście w sferę publiczną kobiet, upodmiotowienie dziecka, dialog, szacunek dla różnic, autorytet oparty nie na funkcji, lecz na autentyczności i spójności słów z życiem, ekologiczna troska o planetę, sprzeciw wobec przemocy.

Przemoc jest nie do pogodzenia z miłością z co najmniej dwóch powodów. Ten, kto kocha drugiego, nie krzywdzi go, nie rani, nie działa na jego szkodę. Relacja miłości wyklucza krzywdzenie. Poza tym, istota przemocy polega na uprzedmiotowieniu osoby, urzeczowieniu człowieka, dlatego zachowanie to jest obiektywnie sprzeczne z chrześcijańską antropologią. Są też jednak rzeczy w świecie, które uległy zmianie – ale znakami czasu nie są, w tym: wiara w życie i miłość bez cierpienia, zastąpienie etyki empatią, gloryfikacja egocentryzmu i narcyzmu, nastawienie na szybki efekt typu „instant”, myślenie o władzy jako sile, mocy – a nie służbie. I zdumiewające odwrócenie porządku: to, że Bóg jest Miłością nie oznacza, że każda miłość jest... bogiem.

Kościół otwiera się dziś na świat emocji, potrzeb i relacji, nie może natomiast ulegać logice wahadła. Nieustannie, od wieków, szuka HARMONII i RÓWNOWAGI. Dlatego nie rezygnując z prawdy obiektywnej, łączy ją z miłością na co dzień do każdego człowieka. Zwłaszcza tego, który jest ubogi, potrzebujący, cierpiący, obolały. Który został zniszczony przez przemoc, działanie drugiego. Zniszczoną rzecz da się odkupić. Naprawić. Człowiek, który doświadczył przemocy, którego zabijano na raty, musi dostać miłość. Aby umiał żyć...



Współczucie dla pobitych

Z kardynałem Grzegorzem Rysiem
rozmawia Małgorzata Bilka

Małgorzata Bilka – dziennikarka, autorka książek, absolwentka studiów doktoranckich w Instytucie Socjologii UJ. Pracuje dla „Przewodnika Katolickiego”, gdzie ma stałą rubrykę *Bez Owijania*; współpracuje z „Rzeczpospolitą” i KAI. Jest też pedagogiem, ekspertem w obszarze profilaktyki przemocy. Publikowała w „Tygodniku Powszechnym”, „Wprost”, „Znaku”, „Przeglądzie Powszechnym”, „Więzi”, „Teologii Politycznej”, „Pressjach”; w magazynie na urządzenia mobilne „W Punkt”; na portalach natemat.pl, rmf24.pl, deon.pl, pl.aleteia.org. Ostatnio wydała – z kardynałem Grzegorzem Rysiem – książkę *Mistrzowie drugiego planu*, która dostała wyróżnienie FENIKS 2023. Jej artykuły znajdują się w pracach zbiorowych, w tym: *Chrześcijaństwo przed nami*, red. J. Makowski i J. Salamon SJ (2008). Mieszka w Krakowie.

Kardynał Grzegorz Ryś – doktor habilitowany historii, metropolita łódzki (od 2017), w latach 2020–2021 administrator apostolski diecezji kaliskiej. Wcześniej biskup pomocniczy archidiecezji krakowskiej (2011–2017). Członek dwóch watykańskich dykasterii: Dykasterii ds. Biskupów; Dykasterii do spraw Kultu Bożego i Dyscypliny Sakramentów. Ukończył studia z zakresu teologii oraz historii. W 1994 roku uzyskał doktorat, a w 2000 roku – habilitację z nauk humanistycznych w zakresie historii na Uniwersytecie Jana Pawła II w Krakowie. W latach 2007–2011 był rektorem Wyższego Seminarium Duchownego w Krakowie. Jest twórcą i przez dwie kadencje był przewodniczącym Zespołu ds. Nowej Ewangelizacji KEP. Od 2022 roku pełni funkcję przewodniczącego Rady ds. Dialogu Religijnego oraz Komitetu ds. Dialogu z Judaizmem. Członek Rady Stałej Episkopatu Polski. W 2023 roku wybrano go do zespołu KEP, który pracuje nad koncepcją komisji badającej przypadki wykorzystania seksualnego małoletnich w polskim Kościele. Jest zaangażowany w ewangelizację młodzieży; inicjator wielu wydarzeń ekumenicznych. Stworzył w Łodzi Ekumeniczną Szkołę Biblijną i Szkołę Liturgii. Ceniony kaznodzieja i rekolekcyjista, autor ok. 50 książek. W „Tygodniku Powszechnym” ma stałą rubrykę *Okruchy słowa*. Jest z Krakowa; chodzi po górach i jeździ na nartach.

Małgorzata Bilka: Współczucie, jak usłyszałam od wykształconego i cenionego księdza, to termin nie chrześcijański, ale buddyjski. „Chrześcijańskie to jest miłosierdzie!” – mówi mi ten ksiądz. Z poczuciem pewnej wyższości. A przecież Jezus ogromnie współczuł ludziom cierpiącym spotkanym na ziemskiej drodze, co mamy zapisane w Ewangelii. Obraz Boga współczującego zniekształciły nam po prostu tłumaczenia Biblii z języków oryginalnych. Na szczęście papież Franciszek (dopiero 266. następca św. Piotra) często używa tego słowa w homiliach, w wystąpieniach, w oficjalnych dokumentach, podczas nieformalnych wizyt i spotkań. Mnóstwo uwagi poświęca trójcy, jaką stanowią czułość, współczucie i troska – postuluje budowę nowej cywilizacji troski. Termin „współczucie” nie zastępuje tu miłosierdzia, ale w pewnym sensie, od Serca Jezusa, je dopełnia.

W homilii wygłoszonej w Środę Popielcową 2024 papież powiedział: „Jesteśmy powołani do miłości, do kochania naszych braci i siostr (...) do okazywania współczucia i czynienia miłosierdzia”. Mówił także w tamtym okresie: „Nadstawmy ucha naszego serca temu, który w ciszy chce nam powiedzieć: jestem twoim Bogiem, Bogiem miłosierdzia i współczucia (...)”. Czym te oba pojęcia się różnią według Księdza Kardynała?

Kardynał Grzegorz Ryś: Myślę, że dostrzeganie współczucia podkreśla osobową naturę Boga. O współczuciu można mówić tylko między osobami, więc także wtedy, gdy ktoś chce wskazać na osobowy charakter relacji Boga i człowieka. Gdybym był „mocniejszym” teologiem dogmatycznym, powiedziałbym nawet, że w ten sposób można opisywać również Tajemnicę wewnętrznego życia Trójcy Świętej. Wszędzie tam, gdzie mówimy o osobach, pojawia się przestrzeń dla współczucia.

Z „poprzedniego życia” (w Krakowie) pamiętam rozmowy o cierpieniu Boga Ojca. Jeśli w ogóle dopuszcza się możliwość cierpienia Ojca, oczywiście w odniesieniu do męki Syna, to właśnie z uwagi na to, że

są to Osobowe Podmioty – w relacji do siebie. Ojciec nie może nie cierpieć, patrząc na to, jak biczowany, bity, katowany, torturowany jest Syn. W jakich męczarniach i rozdzierającym ciału bólu umiera. Współczucie jest reakcją Osoby. Bóg jest Osobą. Wspólnotą Osób. Zatem my, ludzie, osoby stworzone na Ich obraz, mamy zdolność do takiej reakcji na cierpienie drugiego.

Osobowy Bóg w Trójcy jest współczujący wzajemnie wobec siebie, gdyż jest Miłością. A czy jest miłosierny? Chyba nie, bo ten termin odnosi się do grzesznika. Miłosierdzie dane jest „z góry”.

O miłosierdziu mówimy zawsze wtedy, gdy mamy do czynienia z miłością przekraczającą miarę sprawiedliwości. Podam przykład: Elżbieta, matka Jana Chrzciciela, mówiła, że Bóg jej okazał miłosierdzie: „Dla Elżbiety zaś nadszedł czas rozwiązania i urodziła syna. Gdy jej sąsiedzi i krewni usłyszeli, że Pan okazał tak wielkie miłosierdzie nad nią, cieszyli się z nią razem” (Łk 1,57–58). Ona nie potrzebowała miłosierdzia w kluczu przebaczenia, gdyż – jak Biblia podkreśla – była człowiekiem sprawiedliwym. Była święta i nienaganna. Miłosierdzie Boga względem niej polega na łasce poczęcia i urodzenia syna, gdyż byli z Zachariaszem bezpłodni, a w jej wieku biologia uniemożliwiała zajście w ciążę. Ona jednak wbrew naturze, biologii, urodziła zdrowego, silnego chłopca. Doświadczyła miłosierdzia.

Najważniejsza odpowiedź na pytanie o to, jak się ma współczucie do miłosierdzia, może być wyprowadzona z uważnego patrzenia na Jezusa w Ewangelii. U Niego czułość jest warunkiem *sine qua non* miłosierdzia. Ona pojawia się po drodze do czynienia drugiego innym. A wraz z nią widać tu też współodczuwanie. Ze współ-czucia wynika potem czyn. Jeżeli nie ma współczucia, to rodzi się pytanie o to, skąd wziął się ten czyn.

Współczucie jest też funkcją poznania problemu, z którym Jezus się spotyka. To, co widzi, bardzo głęboko Go dotyka. Porusza Go. Gdyby

nie poruszało, byłby jedynie zewnętrznym obserwatorem, rejestrującym wydarzenia jako fakty, które jednak pozostają dla Niego bez większego znaczenia. Więc z czego miałyby się brać motywacja do udzielenia pomocy? Skąd czyn miłosierdzia?

Nasza kultura jest kulturą obrazu (a nie kulturą słowa). Kiedy Guy Debord, francuski pisarz i filozof, w latach 70. XX wieku pisał o „społeczeństwie spektaklu”, w Polsce był PRL. W latach 80. wielkie zainteresowanie wzbudziła książka Jeana Baudrillarda *Symulakry i symulacja*. Postawił on tezę, że w erze mediów, reklamy itd. przeszliśmy z rzeczywistości do hiperrzeczywistości... W dużym uproszczeniu – nasz obraz świata coraz bardziej odrywa się od faktów, autentycznych doświadczeń. I to było przed epoką dostępnego masowo internetu i telefonów komórkowych! Jesteśmy bombardowani non stop obrazami pełnymi nienawiści i przemocy – wokół tego kręcą się narracje mediów, filmów, seriali telewizyjnych. Gubimy gdzieś granicę między bólem realnym a wirtualnym – jakby każdy miał co najmniej dziewięć żyć. Dostajemy wyrwane z kontekstu migawki dramatów. Tam mamy uczyć się współczucia?

Nie ma tam relacji z człowiekiem.

Brak spotkania *face to face*.

Dlatego na początku powiedziałem, że współczucie bierze się z intensywnego spotkania ludzi. Takiego, które chce iść w głąb, a nie – zatrzymać się na powierzchni.

Pozostaje pytanie, dlaczego katolicy nie identyfikują się z terminem „współczucie”. Być może dobry trop znalazłam w książce ks. Leszka Matei *Bóg mówi do ciebie. Zaufaj mi*, a konkretnie w części *Wzruszyć się miłosierdziem*. Autor potwierdza to, co mówił mi już ks. prof. Marcin Kowalski, znany biblista. Tłumaczenie greckiego

oryginału Ewangelii niestety wprowadza w błąd, jeśli chodzi o istotę tego, jak Jezus reaguje na cierpienie. To dotyczy także Samarytanina z przypowieści: „Jezus (...) rzekł: Pewien człowiek schodził z Jerozolimy do Jerycha i wpadł w ręce zbójców. Ci nie tylko, że go obdarli, lecz jeszcze rany mu zadali i zostawiwszy na pół umarłego, odeszli. Przypadkiem przechodził tą drogą pewien kapłan; zobaczył go i minął. Tak samo lewita, gdy przyszedł na to miejsce i zobaczył go, minął. Pewien zaś Samarytanin, będąc w podróży, przechodził również obok niego. Gdy go zobaczył, wzruszył się głęboko: podszedł do niego i opatrzył mu rany, zalewając je oliwą i winem; potem wsadził go na swoje bydlę, zawiózł do gospody i pielęgnował go. Następnego zaś dnia wyjął dwa denary, dał gospodarzowi i rzekł: Miej o nim staranie, a jeśli co więcej wydasz, ja oddam tobie, gdy będę wracał” (Łk 10,30–35).

Biblia Tysiąclecia dała „wzruszył się głęboko”, *Biblia Poznańska* „ulitował się”. Według Benedykta XVI trzeba to tłumaczyć: „rozdarło mu się serce”. Greckie *εσπλαγχνισθη*, *esplagchniste*, znaczy „poruszony do wnętrzości” i znaczeniowo jest bliższe „współczuciu”.

Ani jedno tłumaczenie, ani drugie, ani trzecie nie jest dobre... Benedykt XVI był genialnym teologiem, ale zwrot, którego używa, jest poetycki. Faktycznie trzeba tutaj wrócić do oryginału. Termin *esplagchniste* znajduje się w Nowym Testamencie w kilku miejscach. Na przykład u Łukasza w piętnastym rozdziale ojciec wzrusza się głęboko, kiedy widzi wracającego do domu syna – nazwaliśmy go marnotrawnym. Termin jest też w kilku miejscach u Marka i to warte odnotowania, ponieważ nie pada w kontekście przypowieści – historii mniej czy bardziej, ale jednak zmyślonej. Marek używa tego słowa, by opisać spotkanie Jezusa.

Kluczem do problemu jest słowo. W łacińskim tłumaczeniu dość często jest ono przekładane na *viscera* – mówiąc dosadnie, „wnętrzości”.

Chodzi o to, co człowiek ma w sobie najbardziej wewnątrz. Dlatego bardziej mi odpowiada tłumaczenie: „poruszony do samych trzewi”.

To jest już bliskie hebrajskiemu słowu opisującemu miłosierdzie: *rahamim*, od *rehem*, czyli łono matki, tzn. wnętrze kobiety. Z tej perspektywy *splagchna* to może być „łono”, może nawet słowo współczesne – „macica”. Jeżeli biorę kogoś do swojego łona, to znaczy, że chcę go urodzić do nowego życia. W tym spotkaniu ostatecznie nie idzie więc o powierzchowną rejestrację faktów ani o reakcję wyłącznie emocjonalną, ani o płytką, doraźną pomoc „na odczepne”. Jeśli napotkanego człowieka biorę w swoje wnętrze, w trzewia, to mam zamiar zrodzić go do zupełnie nowego życia...

Dać siebie. Zaangażować się jakoś.

Taki *de facto* sens jest ukryty w Ewangelii. Można nawet powiedzieć – chcę dać mu nowy start. Choć to nie jest to samo.

Ksiądz Mateja odnosi się do św. Augustyna, który używał określenia „miłosierne współczucie wobec potrzebujących”. I pisał: „Z własnej słabości czerpiemy współczucie, skłaniające nas, abyśmy spieszyli na pomoc tym, którzy tego potrzebują. Jak sami byśmy chcieli, aby nam inni pomogli, kiedy znajdujemy się w biedzie. Jesteśmy jak drzewo owocodajne, bliźniemu bowiem, który doznaje krzywdy, wyświadczamy dobro przez wyrwanie go z rąk przemocy i otoczenie silną osłoną prawdziwej sprawiedliwości jak drzewo osłania dobroczynnym cieniem” (*Wyznania*, XIII, 17). Tutaj współczucie pojawia się jako reakcja na potrzebę i staje się podstawą działania. Trzeba to podkreślić, bo czyny miłosierdzia bywają motywowane tylko obowiązkiem moralnym. Długo do tego się je sprowadzało. Współczucie było subiektywne, więc gorsze... A przecież i Jezus, i papież Franciszek genialnie łączą obiektywne

**prawdy i prawo z troską o konkretną pobitą i skrzywdzoną osobę,
leżącą przy ich drodze!**

Można się zastanowić – co to znaczy, że coś jest obowiązkiem? Przypomnijmy 25 rozdział Ewangelii Mateusza. To – według papieża Franciszka – jeden z najważniejszych tekstów w całej Ewangelii:

„(...) byłem głodny, a nie daliście Mi jeść;
byłem spragniony, a nie daliście Mi pić;
byłem przybyszem, a nie przyjęliście Mnie;
byłem nagi, a nie przyodzialiście Mnie;
byłem chory i w więzieniu, a nie odwiedziliście Mnie”
(Mt 25,42–43).

Żeby wypełnić zalecenie miłosierdzia, naprawdę wystarczy rzucić komuś kawałek chleba, dać ochłap, kawałek podłogi do spania? Zaniechanie w tym przypadku nie dotyczy tylko tego, że potrzebujący nic nie dostał lub dostał „na odczep się”, lecz także relacji: nie zobaczyłeś tych ludzi, nie wszedłeś z nimi w relację międzyludzką, interpersonalną – i nie okazałeś miłości. W Pierwszym Liście św. Jana czytamy:

„Jeśliby ktoś posiadał majątność tego świata
i widział, że brat jego cierpi niedostatek,
a zamknął przed nim swe serce,
jak może trwać w nim miłość Boga?”
(1 J 3,17).

Kiedy ktoś widzi biedę człowieka, a zamyka serce, nie spełnia wymogów Ewangelii. To najlepiej pokazuje, gdzie jest realny problem. Jan wcale nie upomina nas za to, że ktoś zamknął przed drugim człowiekiem portfel. Krytykuje zamknięte serce! Nie ma takiej możliwości, że rzucę ubogiemu dychę, po czym padnie sławne „spieprzaj dziadu”. Taka pomoc nie ma nic wspólnego z chrześcijaństwem! Nie wolno miłosierdzia redukować do obowiązku!

Ze strachu przed emocjami czy z innych powodów.

Miłosierdzie jest podstawą, ogarnia całego człowieka. Jeśli tak nie jest, staje się tylko rodzajem jakiejś karykatury.

Gdy szukałam materiałów na temat tego, co Kościół mówi o współczuciu i miłosierdziu, ze zdumieniem odkryłam, że obowiązek był ceniony jako racjonalny i obiektywny, podczas gdy współczucie traktowano z góry, bo to jest „emocja”. Uczynek miłosierdzia nie może być „ze strony ofiarodawcy wyrazem zwykłej litości i współczucia” – pisze ksiądz Krzysztof Gryz i jest to stwierdzenie typowe. Jakby po linii św. Tomasza z Akwinu. W dodatku postawę współczucia przeciwstawia się... miłości, która ma być „postawą akceptacji i przyjęcia człowieka jako daru”. Teoria nijak się ma do życia! Bardzo wątpię, czy Samarytanin stał się ratunkiem i ocaleniem dla pobitego, bo przemyślał uprzedzenia wobec Żyda i go zaakceptował. Przyjął go jako dar! Po prostu był „poruszony do trzewi”. Wcześniej cierpiącego obojętnie minęli czyści, pobożni: kapłan i świecki sługa świątyni, mający w głowie przepisy moralne.

Pewnie dotychczas chodziło o to, że nie można poprzestać na emocjach, ale trzeba pójść dalej. Poza tym jest w tym trochę kościelnego slangu, który – w licznych wymiarach – bywa bardzo podejrzliwy wobec emocji. Z tym się zgodzę. To dotyczy nie tylko dzieł miłosierdzia, ale i na przykład form modlitwy. Można liczyć w tysiącach teksty, które krytykują modlitwę charyzmatyczną, „bo to tylko emocjonalność”. Z tego samego powodu niektórzy teologowie czy nawet katolicy intelektualisci nie pojmowali Lednicy i dużych wydarzeń – spotkań ewangelizacyjnych. Wystarczy wzruszyć ramionami: „pełen emocji event”. Nic nie wart. Z drugiej strony, nie wystarczy współczuć: takie podejście też byłoby bzdurą. W Liście św. Jakuba autor pisze tak: „Jeśli na przykład brat lub siostra nie mają odzienia lub brak im codziennego chleba, a ktoś z was powie im: «Idźcie w pokoju, ogrzejcie się

i najedzcie do syta!» – a nie dacie im tego, czego koniecznie potrzebują dla ciała – to na co się to przyda?» (Jk 2,15–16).

Można z empatią wyrazić współczucie, ale na nim miłość chrześcijanina się nie kończy. Trzeba sięgnąć do tego, jak zachowuje się Jezus. W spotkaniu z cierpiącym człowiekiem współczucie jest etapem Jego reakcji. Najpierw widzimy głębokie współ-odczuwanie. Ale ono potem przechodzi dalej, do działania.

Rozumiem tok myślenia. Musimy wyraźnie rozróżnić jeszcze dwa terminy: współczucie i empatię. Współczucie wbrew pozorom nie jest bowiem wcale współ-od-czuciem! (Choć tak uważał choćby ks. prof. Józef Tischner – był trochę sprzed epoki wiedzy psychologicznej). Różne słowniki języka polskiego podają odmienne definicje, które można ująć w zdanie: „WSPÓŁCZUCIE – więź solidarności z człowiekiem cierpiącym”. To jest forma uczuciowej solidarności, ale solidarność jest definicyjnie rodzajem więzi społecznej. Tych więzi łączących ludzi nigdy, ale to nigdy nie zbuduje się jedynie na moralnym obowiązku, na rozumnie wykalkulowanej powinności. Empatia natomiast jest to zdolność do wczucia się w drugą osobę tak, aby rozumieć, co ona przeżywa, co czuje. Współ-odczuwanie wcale nie musi zamienić się w pomoc bliźniemu, w postawę Samarytanina; ono uzasadnia między innymi eutanazję. „Nie wolno pozwolić drugiemu na cierpienie – skróćmy ból!” To nie jest chrześcijaństwo. Empatia może wygodnie zgrać się z narcyzmem i służyć koncentracji na sobie. Legalizacja eutanazji to proste pozbycie się kłopotu – nic nie muszę robić. Troszczę się! Mam dobre serce.

Serce w języku Biblii też nie jest jedynie siedzibą uczuć. To takie wewnętrzne centrum człowieka, skąd wynikają decyzje. To daleko głębsze znaczenie niż romantyczne czy popkulturowe, oklepane, czerwone serduszko. Empatia jest terminem raczej psychologicznym, ma węższe znaczenie.

Na moje grubiańskie wyczucie ignoranta w dziedzinie nauk psychologicznych: empatia jest dziś postawą zalecaną, może nawet poprawną politycznie. Współczucie nie – jest zbyt chrześcijańskie. Za mocno wchodzi w kwestie duchowe. Ponieważ w Polsce jest bardzo mało buddystów, to współczucie kojarzy się nam przede wszystkim z językiem ewangelicznym, zwłaszcza od kiedy papież Franciszek wprowadził je do swojego nauczania. Często używa on tego słowa właśnie w odniesieniu do Jezusa, miłosierdzia. Ono jest za święte, za bliskie Boga, żeby trafiło do mediów i sfery publicznej. Jak coś jest psychologiczne, jest przyjmowane bez zastrzeżeń. Ja jednak zostanę przy współczuciu.

Franciszek nie używa słowa „empatia”... Jest ono za to w samym centrum postulatów nowych ruchów społecznych, przede wszystkim ruchu gender. Empatia w pewnym stopniu zastąpiła normy moralne. Ponieważ etyka bez prawdy obiektywnej, jako ludzkie dzieło historyczne – tylko konstrukcja kulturowa – traci rację bytu, fundamentem dobrych relacji jest dziś nakaz empatii. Bo dlaczego mam się troszczyć o kogoś, skoro nie ma transcendentnego źródła norm, niezależnego od woli jednostki? Kościół od początku starał się łączyć serce i rozum w jedno. Faktem jest z kolei, że nam, katolikom, brakuje na co dzień współczucia, co jaskrawo widać po reakcjach na skrzywdzone przez księży dzieci i cierpienie ofiar każdej innej przemocy. Często pozostajemy obojętni wobec cierpiących, którzy nie mieszczą się w katalogu tradycyjnych uczynków miłosierdzia takich jak ubodzy, chorzy, samotne matki. Choć tacy dumni jesteśmy z naszych dzieł miłosierdzia, trzeba wrócić do Ewangelii, do źródeł.

Najlepszym tekstem w Ewangelii ukazującym współczucie Jezusa jest jeden z początkowych fragmentów Ewangelii Marka. To tekst absolutnie genialny: „Wtedy przyszedł do Niego trędowaty i upadając na kolana, prosił Go: «Jeśli chcesz, możesz mnie oczyścić». Zdjęty litością, wyciągnął rękę, dotknął go i rzekł do niego: «Chcę, bądź

oczyszczony!»). Natychmiast trąd go opuścił i został oczyszczony” (Mk 1,40–42).

Pierwsze słowo po stronie Jezusa w tym spotkaniu to właśnie *splagchnisteis*. Święty Hieronim to tłumaczył jako *misertus*, czyli „zmiłowawszy się”. To od razu łąduje bliżej miłosierdzia niż współczucia, nie mówiąc nawet o litości. „Zdjęty litością” nie oddaje tego, o co chodziło natchnionemu autorowi. Potem następuje czuły gest Jezusa: wyciągnął swoją rękę – i dotknął go. Tej czułości nie musiało tu być, ona nie jest niezbędna. Zaraz potem Jezus uzdrawia go słowem: „chcę, bądź oczyszczony”. Widzimy jednak, że zanim to powie, wykonuje kilka czynności. Najpierw głęboko, aż do trzewi się wzrusza, z tego wynika dotknięcie – Jezus wyraża swój stan ducha czułym gestem – a potem dopiero jest czyn, który cierpiącego uzdrawia. To jest pierwszy przypadek u Marka, gdzie użyte zostało słowo *splagchnisteis*. W innych miejscach też jest zwykle tłumaczone jako litość.

Ludzie nie lubią litości, kojarzy im się z pogardą. W tym słowie pobrzmiwa wyższość. Może pora na to, aby poprawić tłumaczenia?

Tłumaczenie tekstu biblijnego nie jest natchnione. Natchniony jest tekst oryginalny.

Zatrzymam się jeszcze na moment nad czułym gestem. Gestykulacja, tak samo jako dotyk, jest językiem bez słów. Inne rodzaje mowy niewerbalnej to: mimika, kontakt wzrokowy, postawa ciała, dystans przestrzenny, niewerbalne aspekty mowy (śmiech, intonacja, akcent, tempo mówienia). Uczę kompetencji miękkich, pamiętam tę listę. Jedną z kluczowych funkcji mowy ciała – a w porozumiewaniu się zajmuje ona dużo ponad połowę wszystkich komunikatów (według niektórych badań 93 procent!) – jest przekazywanie emocji. Czy chcemy, czy nie, non stop nadajemy i odbieramy tłumione, bo niby groźne, emocje. Współczucie wprowadza do „miłosierdzia z obowiązku” mowę ciała. Coś więcej niż więź solidarności.

Ja jednak ciągle się upieram przy tym, żeby nie przeciwstawiać sobie postawy miłosierdzia i współczucia. Pierwsze bez drugiego nie jest warte funta kłaków! Z konieczności czasem to musi wystarczyć, ale absolutnie nie powinno. Niestety wyobrażam sobie teraz sytuację (dość często się o takich przypadkach dowiaduję), że ktoś przychodzi do kancelarii parafialnej po śmierci ojca czy matki w sprawie pogrzebu. Ksiądz z nim załatwia formalności. Bez żadnego słowa współczucia, nie pyta nawet, co się stało, jak do tego doszło. Obojętnie wobec czyjegoś dramatu. Załatwia rzecz mechanicznie, urzędowo, jak w biurokracji. Ludzie wychodzą z takiego spotkania... pobici. Tak naprawdę jest. No, wszystko załatwione, odbędzie się ten pogrzeb. Za dwa dni, o tej i o tej godzinie. Może nawet przyjdzie dwóch księży, a nie jeden. Uczynek miłosierdzia! Zmarłego pogrzebać. Tylko nikt z parafian nie potrafi, w sposób uczciwy, zaakceptować takiej postawy księdza – ponieważ to jest karykatura tego, co ktoś chciałby nazwać miłosierdziem.

To nie jest miłosierdzie. To jest wykonywanie zawodu kapłana, w najlepszym przypadku.

Już dla tego, co teraz usłyszałam, warto napisać książkę. I zaprosić do niej tych, od których można się czegoś nowego dowiedzieć.